

GRUDZIEŃ '70



**TYGODNIK
POWSZECHNY**

5 grudnia 2010 nr 49 | Kraków
DODATEK SPECJALNY
„TYGODNIKA POWSZECHNEGO”
Redakcja: Roman Graczyk, Wojciech Pięciak

Ulice Gdańska, grudzień 1970 r. IPN

KRYZYSY W PRL – CZY PRL W (CIĄGŁYM) KRYZYSIE?

**MARKSIZM BYŁ
IDEOLOGIĄ ZAMKNIĘTĄ,
KOMUNIZM BYŁ ZAMKNIĘTYM
SYSTEMEM WŁADZY.**

**DLATEGO BYŁY TRUDNO REFORMOWALNE
(NIEKTÓRZY POWIEDZĄ: NIEREFORMOWALNE).**

**ALE KIEDY JUŻ NASTĘPOWAŁ KRYZYS,
JEGO PRZEBIEG BYŁ KONWULSYJNY.**

Najprostszy, bo najbardziej adekwatnym do natury systemu sposobem rozwiązania sytuacji kryzysowych w Polsce i całym bloku komunistycznym było uśmierzenie buntu siłą – jak 40 lat temu na polskim Wybrzeżu w Grudniu 1970 r. czy dwa lata wcześniej w Czechosłowacji. Ale nawet wtedy, gdy władze siły nie używały, groźba jej użycia wisiała jak cień nad aktorami wydarzeń (np. w październiku 1956 r. i podczas strajków sierpniowych w 1980 r.).

Władze PRL nie zawsze tłumili bunt siłowo. Nie zawsze, stosując siłę, czyniły to na dużą skalę, włącznie z wyprowadzeniem wojska z koszar. Ale akurat bunt na Wybrzeżu w 1970 r. miał przebieg krwawy – o czym pisze w tym dodatku historycznym Jerzy Eisler. A że system był zamknięty i informacja ściśle reglamentowana, to i wiedza społeczna o protestach w Gdańsku, Gdyni, Elblągu i Szczecinie była mieszaniną prawdy z pogłoskami, niekiedy fantastycznymi. Dużo mówi to o naturze systemu. Marcin Zaremba opisuje ów stan społecznej świadomości na podstawie listów mieszkańców Wybrzeża, przejętych przez gdańską Służbę Bezpieczeństwa zimą 1970-71. To poruszająca lektura.

Kolejne polskie bunty nie były jednak topione we krwi – jak to robili Lenin, a później Stalin w „ojczyźnie światowego proletariatu” z rzeczywistymi lub (częściej) domniemanymi wrogami. W ZSRR takich ludzi najczęściej likwidowano (nie w czasie protestu, ale z zimną krwią) lub karano długoletnimi wyrokami łagru. To jedna z odmienności polskiego komunizmu w stosunku do sowieckiego wzorca – o tych różnicach pisze Jan Kofman.

Inna różnica polegała na skali problemów z Polską. Władcy imperium mieli większy kłopot, gdy buntowała się polska prowincja, niż gdy buntowały się inne prowincje, mniejsze. Anthony Kemp-Welch, brytyjski historyk i autor wydanej niedawno książki o polskim komunizmie, zwraca uwagę, że dla Sowietów każda ewentualna interwencja w Polsce oznaczała niebagatelny koszt polityczny. Jak widać, geopolityka, która wówczas była zasadniczo naszym przekleństwem, była też do pewnego stopnia naszą tarczą – na zasadzie, że większemu więcej wolno.

W polskiej prowincji sowieckiego imperium buntów było więcej niż gdzie indziej. Czerwiec '56, Październik '56, Marzec '68, Grudzień '70, Czerwiec '76, Sierpień '80, następnie czas legalnej Solidarności aż do 13 grudnia 1981 r., stan wojenny, w końcu wydarzenia schyłku PRL, od wiosny 1988 do czerwca 1989 r. – czyli dużo i często. Ciekawe jest porównanie charakteru kolejnych buntów; nawarstwianie się doświadczeń, dzięki którym buntownicy z czasem lepiej rozumieli rzeczywistość, którą kontestowali; ich złożony i zmienny w czasie stosunek do komunizmu. Ważne jest też pytanie, jak nazwać stan napięcia, a czasem wrzenia, który notorycznie – niektórzy badacze twierdzą, że stale – występował pomiędzy wybuchami społecznego niezadowolenia. O tym traktuje rozmowa z Łukaszem Kamińskim i Pawłem Machcewiczem.

Czy system komunistyczny w PRL był w permanentnym kryzysie? Na pewno był systemem ciągłego niedoboru: braku towarów i braku wolności. A kilku pokoleniom kontestatorów towarzyszyło podwójne poczucie: że system ten jest zarazem niezdolny i nieusuwalny.

ROMAN GRACZYK

Dodatek powstał
we współpracy
z Instytutem
Pamięci Narodowej



**INSTYTUT
PAMIĘCI
NARODOWEJ**

GRUDZIEŃ '70: co wypada pamiętać?

W głębi kraju o tej narodowej tragedii przypominamy sobie zwykle przy okazji tzw. okrągłych rocznic. Wtedy właśnie ukazują się kolejne książki na ten temat (jak dotąd wydano ich już ponad 50, a następnych kilka ukaże się w najbliższych dniach i tygodniach). Przez parę dni jest głośno o rocznicy i udziale w jej uroczystych obchodach najważniejszych osób w państwie. O Grudniu '70 wspomina się w programach radiowych i telewizyjnych, a najpoważniejsze tytuły prasowe zamieszczają okolicznościowe artykuły.

Można wówczas odnieść wrażenie, iż było to wydarzenie o wyjątkowej doniosłości dla najnowszych dziejów Polski. Ale po kilku dniach wszystko wraca do „normy” – i na następne lata znowu zapominamy o Grudniu. Czasem tylko tę ciszę medialną przerywają doniesienia o kolejnych odsłonach procesu przeciwko osobom oskarżanym o „kierownicze sprawstwo” – i tak do następnej „okrągłej rocznicy”.

1968–1970: czas stagnacji i frustracji

Mam pełną świadomość tego, że przedstawiony powyżej obraz „historii rocznicowej” można odnieść do każdego z „polskich miesięcy”. A nawet do niemal wszystkich najważniejszych wydarzeń z najnowszej historii naszego kraju – może z wyjątkiem rocznicy wybuchu Powstania Warszawskiego, od kilku lat obchodzonej 1 sierpnia w sposób

MIMO UPŁYWU CZTERDZIESTU LAT, W TRÓJMIEŚCIE I SZCZECINIE PAMIĘĆ O GRUDNIU '70 JEST ŻYWA I NADAL OBECNA W ŻYCIU PUBLICZNYM.

JERZY EISLER

mniej czy bardziej uroczysty w całej Polsce. Tak było, tak jest i najpewniej zawsze tak będzie. Po raz kolejny spróbuję więc i ja przypomnieć, co wydarzyło się w Grudniu roku 1970.

Zacząć wypada od tego, że lata 1968–1970 był to najgorszy (nie wyłączając stanu wojennego) po czasach stalinowskich okres w historii Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej.

Wyznaczały go: brutalnie tłumiona rewolta studencka w Marcu 1968 r., równoległa w czasie propagandowa kampania antyinteligentka i antysemitka, w następstwie której wyemigrowało z Polski ponad 15 tys. osób, udział Wojska Polskiego w inwazji Układu Warszawskiego na Czechosłowację w sierpniu 1968 r., a wreszcie krwawo pacyfikowana robotnicza rewolta w Grudniu 1970 r.

Wtedy to, w dramatycznych okolicznościach, zakończył się ponad czternastoletni okres rządów Władysława Gomułki. Kończył się on w atmosferze ekonomicznej stagnacji i stopniowo rosnącej społecznej frustracji. A kroplą, przepelniającą czarę goryczy, stała się wprowadzona zaledwie na jedenaście dni przed świętami Bożego Narodzenia drastyczna podwyżka cen wielu towarów, w tym zwłaszcza artykułów spożywczych.

Pierwszy strajk, pierwsze starcia

Spółczesność o podwyżce oficjalnie poinformowano dopiero wieczorem 12 grudnia 1970 r., w przeddzień jej wprowadzenia – gdy sklepy w całym kraju były już zamknięte. Chodziło o to, by nikt nie mógł zgromadzić na zapas towarów po starych, niższych cenach.

Polacy w swej masie byli świadomi tego, że „operacja cenowa” uderzała głównie w rodziny o najniższych dochodach. Trudno się zatem dziwić, że stała się ona bezpośrednią przyczyną gwałtownych robotniczych protestów, do których doszło w kilku miastach Wybrzeża. Nie znaczy to jednak, że miały one wyłącznie ekonomiczny charakter.

Jako pierwsza zastrajkowała w poniedziałkowy poranek, 14 grudnia, Stocznia im. Lenina w Gdańsku, której pracownicy zażądali cofnięcia podwyżki. Ponieważ kierownictwo zakładu nie mogło spełnić tego postulatu, po czterech godzinach robotnicy sformowali pochód i wyszli poza teren stoczni. Skierowali się pod znajdujący się kilkaset metrów od bramy gmach Komitetu Wojewódzkiego PZPR. Manifestanci chcieli rozmawiać z I sekretarzem KW Alojzym Karkoszką, ale ten przebywał w Warszawie, gdzie właśnie obradowało VI plenum KC PZPR. Rozgoryczeni demonstranci, nic nie osiągnąwszy, przez kolejne kilka godzin przemierzali się ulicami Gdańska, zachowując jednak spokój i porządek.

Gdy po kilku godzinach, nadal w spokoju, wracali pod siedzibę lokalnych władz partyjnych, zostali nagle zaatakowani petardami i granatami łzawiącymi przez funkcjonariuszy MO. Stało się to na krótko przed godziną 16, w pobliżu mostu Błędnik.

Było to już ponad dziewięć (sic!) godzin po tym, jak zaczął się strajk w Stoczni im. Lenina i blisko pięć godzin po tym, jak protestujący pochodem opuścili stocznię. Władze lokalne (i ich zwierzchnicy w Warszawie) miały więc dość czasu na podjęcie poważnych rozmów z protestującymi. Wyraźnie tego jednak nie chciały, a może nie mogły lub nie umiały uczynić. Autentyczny dialog społeczny był obcy praktyce tamtego systemu. Nie po raz pierwszy i, niestety, nie ostatni w dziejach PRL łatwiej było przeciw robotnikom posłać milicję i wojsko, niż podjąć z nimi poważne rozmowy.

W śródmieściu Gdańska rozgorzały więc gwałtowne walki uliczne, które toczyły się do późnych godzin wieczornych. Milicja te-

go dnia nie używała jeszcze broni palnej; nie było zatem ofiar śmiertelnych, choć przynajmniej kilkudziesięciu ludzi zostało rannych.

Gdańsk: pierwsi zabici

Nazajutrz, 15 grudnia, protesty się nasiliły. W wielu punktach Gdańska dochodziło do starć z „siłami porządkowymi”, które tym razem używały broni palnej.

Od godzin rannych znów na ulicach pojawili się stocznioowcy, którzy pochodem udali się pod gmach Komendy Miejskiej MO, gdzie rzekomo miały być przetrzymywane osoby zatrzymane poprzedniego dnia. Właśnie w rejonie komendy przy ul. Świerczewskiego, gdzie walki przybrały szczególnie gwałtowny charakter, padli pierwsi zabici. Wraz z upływem czasu potęgowała się obustronna agresja. Miały miejsce podpalenia samochodów, rabunki sklepów, przypadki demolowania obiektów publicznych.

Demonstrantom udało się w końcu podpalić budynek KW PZPR. Tłum przed płonącym gmachem szacowano na ponad 20 tys. osób, z których wiele cieszyło się, gdy ogień zaczął ogarniać kolejne piętra Domu Partii, w grudniowe dni przezwanego przez gdańszczan „Reichstagem”. Zdesperowani demonstranci nie dopuszczali strażcy pożarnej.

Także 15 grudnia do Gdańska wprowadzono żołnierzy, wyposażonych w broń maszynową i ciężki sprzęt. Mimo to (a może właśnie dlatego?) walki uliczne w mieście trwały praktycznie przez cały dzień. Zginęło w nich co najmniej siedem osób, kilkaset zostało rannych, a około 500 demonstrantów zatrzymano.

Rano następnego dnia, gdy pracownicy Stoczni im. Lenina przez bramę nr 2 ponownie chcieli wyjść na ulice, zostali ostrzelani przez blokujących ich zakład milicjantów i żołnierzy. Według oficjalnych ustaleń, zginęły tam wówczas dwie osoby, a 11 zostało rannych. Były to ostatnie ofiary w Gdańsku. Stocznioowcy cofnęli się bowiem na teren zakładu pracy, gdzie proklamowali strajk okupacyjny. Jednak w ciągu kilkunastu godzin został on złamany.

Walczący Szczecin

Tymczasem fala strajkowa stopniowo rozlewała się na inne miasta Wybrzeża, obejmując Elbląg, Gdynię, Słupsk i Szczecin, gdzie walki uliczne przybrały najbardziej gwałtowny charakter. Wypada tu przypomnieć, że przed 17 grudnia w Szczecinie nie było żadnych demonstracji ulicznych, rabunków ani podpaleń. Jednak począwszy od 17 grudnia to stolica Pomorza Zachodniego stawiała się z wolna centrum protestu społecznego. Przed południem pracownicy Stoczni im. Warskiego pochodem wyszli poza bramę zakładu – podobnie jak przed trzema dniami ich koledzy w Gdańsku – kierując się w stronę KW PZPR. Do pierwszego gwałtownego

REKLAMA

OD NIEPODLEGŁOŚCI DO NIEPODLEGŁOŚCI

HISTORIA POLSKI 1918-1989

JEDNA Z NAJWAŻNIEJSZYCH PUBLIKACJI INSTYTUTU PAMIĘCI NARODOWEJ OSTATNICH LAT

NAJNOWSZA HISTORIA POLSKI KOMPENDIUM WIEDZY DLA MATURZYSTÓW I ICH NAUCZYCIELI



JEŻELI UCZYSZ HISTORII W KLASIE MATURALNEJ, KONIECZNIE ZAMÓW BEZPŁATNY EGZEMPLARZ!

WWW.IPN.GOV.PL/SYNTENZA



Gdynia, grudzień 1970 r.: demonstranci niosą na drzwiach zwłoki 18-letniego Zbigniewa Godlewskiego. Scena ta została uwieczniona w „Balladzie o Janku Wiśniewskim”.

starcia doszło w rejonie ulicy Dubois, gdzie milicjanci brutalnie zaatakowali pochód.

W tym samym czasie przed lokalną siedzibą władz partyjnych stopniowo gromadziło się coraz więcej manifestantów. W obliczu groźby podpalenia I sekretarz KW Antoni Walaszek podjął decyzję o ewakuacji budynku. Ciekawe, że zanim doszło w tym rejonie do gwałtownych starć z „silami porządkowymi”, żołnierze długo nie przeszkadzali w plądrowaniu, a nawet w próbach podpalenia gmachu KW. Co więcej, miały tam miejsce przypadki bratania się wojska ze stoczniovcami. Niewątpliwie za przyzwoleniem żołnierzy, na transporterach opancerzonych demonstranci zatykali transparenty z napisami: „Żądamy podwyżki płac” czy „Popieramy stoczniovców Gdańska i Gdyni”.

Sytuacja wokół gmachu KW PZPR stawała się coraz bardziej dramatyczna. Podobnie jak wcześniej w Gdańsku tłum, szacowany na ponad 20 tys. osób, nie dopuszczał do gąszenia płonącego budynku, pozwalając jedynie na profilaktyczne polewanie wodą przylegających domów. Sytuacji nie były w stanie opanować ani oddziały wojska, wydzielone do obrony rejonu KW, ani skierowane tam siły zwarte MO. Pod KW PZPR wojsko oddało strzały ostrzegawcze.

Po godzinie 15 epicentrum walk przeniosło się pod znajdujący się w odległości dwustu metrów gmach Komendy Wojewódzkiej MO. Tam wielokrotnie milicjanci i żołnierze używali broni palnej. Gwałtowny przebieg miały także walki w pobliżu Wojewódzkiego Aresztu Śledczego, gdzie najbardziej zdecydowani demonstranci próbowali sforsować bramę. Służba więzienna i żołnierze z wysokości murów za pomocą hydrantów i „chemicznych środków łzawiących” odpierali napastników.

Masakra w Gdyni

Wszelako najtragiczniejszy przebieg miały tego dnia wydarzenia w Gdyni, gdzie wcześniej także nie było starć ulicznych, rabunków i podpalenia, a co więcej – 15 grudnia ukonstytuował się Główny Komitet Strajkowy miasta Gdyni, który został uznany za partnera przez przewodniczącego Prezydium Miejskiej Rady Narodowej Jana Mariańskiego.

Jednak po kilkunastu godzinach członkowie Komitetu zostali w bardzo brutalny sposób aresztowani. Trudno także nie zauwa-

Podawana przez władze PRL liczba ofiar Grudnia '70 – 45 zabitych oraz 1165 rannych – przez lata budziła, a czasem nadal budzi wątpliwości. Wielu było przekonanych, że ofiar musiało być znacznie więcej.

żyć, że – o ile w Gdańsku, a potem również w Elblągu i zwłaszcza w Szczecinie – mieliśmy do czynienia z walkami ulicznymi, o tyle w Gdyni doszło do prawdziwej masakry. Wojsko i milicja ostrzelały tam bezbronną ludźmi idących rano do pracy. W sumie w Gdyni zginęło co najmniej 18 osób.

Tragicznym symbolem gdyńskiego Grudnia stał się utrwalony na filmie i fotografii pochód, niosący na drzwiach ciało zabitego młodego człowieka i pokrwawioną biało-czerwoną flagę. Do grudniowej legendy przeszedł on jako tytułowy bohater „Ballady o Janku Wiśniewskim”, choć w rzeczywistości człowiek taki nie istniał. Autor ballady celowo wybrał popularne imię (Jan) i jedno z najczęściej spotykanych polskich nazwisk (Wiśniewski), aby w ten sposób stworzyć – być może na wzór nieznanego żołnierza – postać symboliczną.

Ale Janka Wiśniewskiego, którego imię nosi dziś jedna z ulic w Gdyni, naprawdę nie było. Choć, zarazem, takich Janków Wiśniewskich mogło być wielu. Nie ma przy tym większego znaczenia, kto był jego historycznym pierwowzorem. Można jeszcze tylko dodać, że na znanej fotografii utrwalono zastrzelonego rankiem w pobliżu stacji kolejowej Gdynia-Stocznia 18-letniego Zbigniewa Godlewskiego.

Oficjalnie: 45 zabitych

W sumie od 14 do 19 grudnia w kilku miastach, nie tylko zresztą Wybrzeża (m.in. także Białymstoku, Krakowie, Wałbrzychu),

w ulicznych starciach wzięło udział – mniej lub bardziej aktywny – łącznie kilkadziesiąt tysięcy ludzi. Walki nierzadko przybierały bardzo gwałtowny charakter, a wartość strat materialnych spowodowanych zniszczeniami przekroczyła 400 mln ówczesnych złotych. Podpalono i całkowicie lub częściowo zniszczono 19 obiektów użyteczności publicznej, w tym m.in. KW PZPR w Gdańsku i Szczecinie.

Do spacyfikowania protestów na Wybrzeżu władze użyły łącznie ok. 27 tys. żołnierzy oraz 550 czołgów i 750 transporterów opancerzonych. Zaangażowano również 108 samolotów i śmigłowców, a także 40 jednostek pływających Marynarki Wojennej, które blokowały stocznie i porty. W całym kraju z koszar wyprowadzono w sumie około 61 tys. żołnierzy, 1700 czołgów, 1750 transporterów opancerzonych i 8700 samochodów. Jeżeli nie liczyć operacji wprowadzania stanu wojennego, nigdy w czasach pokoju Wojsko Polskie na taką skalę nie zostało postawione w stan gotowości bojowej i w takim zakresie nie zostało wykorzystane.

W kontekście użytych środków, liczba ofiar tej narodowej tragedii przez lata budziła, a czasem budzi nadal wątpliwości. Wielu było przekonanych, że musiało być ich znacznie więcej, niż podano oficjalnie. Te oficjalne dane to łącznie 45 zabitych i 1165 rannych.

Kontrwładza w mieście

A przecież do sił Wojska Polskiego trzeba jeszcze dodać co najmniej 9 tys. milicjantów, funkcjonariuszy Służby Bezpieczeństwa i Ochotniczej Rezerwy Milicji Obywatelskiej oraz służby więziennej, którzy zostali zmobilizowani i włączeni do działania. W trakcie pacyfikowania demonstracji zużyto około 150 tys. sztuk środków chemicznych. Tylko żołnierze wystrzelili na Wybrzeżu blisko 46 tys. pocisków różnego kalibru i typu.

W Grudniu '70 główny ciężar walk z demonstrantami wzięli jednak na siebie funkcjonariusze milicji wyposażeni w hełmy, długie pałki, tarcze, środki chemiczne i broń palną. Oddziały wojska z ciężkim sprzętem stanowiły dla nich ogromne wsparcie, ale zwykle nie znajdowały się na pierwszej linii walk. Zresztą pomoc ze strony wojska miała różnorodny charakter i nie ogra-

niczała się do obecności żołnierzy na ulicach. Ministerstwo Obrony Narodowej użyło na potrzeby MSW także samolotów transportowych i pojazdów do przewozu funkcjonariuszy.

Chociaż niewątpliwie najbardziej dramatyczny i gwałtowny obrót przybrały wydarzenia na Wybrzeżu, to jednak także w głębi kraju między 14 a 20 grudnia odnotowano „przerwy w pracy” w 37 zakładach, w których brało udział około 22 tys. osób. Tymczasem tylko w aglomeracji szczecińskiej, gdzie protest przybrał najbardziej zorganizowaną formę, strajkowało lub podjęło akcje solidarnościowe blisko 120 zakładów. Utworzono stanowiący realną siłę – skupiający wszystkie te zakłady – Ogólnomiejski Komitet Strajkowy z siedzibą w Stoczni im. Warszawskiego, który przejściowo stał się główną władzą w mieście.

Zmiana na szczytach

Nie można też jednak zapominać, że gwałtownym protestom społecznym towarzyszyła niejawna rozgrywka polityczna w kierownictwie PZPR. Zaangażowana była w nią grupa działaczy wyższego i średniego szczebla, którzy już 15/16 grudnia uznali, że jedynym (choć bynajmniej nie jedynym) z warunków uspokojenia sytuacji w kraju i przerwania rozlewu krwi jest zmiana na stanowisku I sekretarza KC PZPR.

Cały czas działając w konspiracji, ale zarazem ciesząc się wsparciem Kremla, „konspiratorzy” doprowadzili do politycznego przesilenia. 18 grudnia wieczorem do willi Edwarda Gierka w Katowicach w tajemnicy udali się kierownik Wydziału Administracyjnego KC PZPR Stanisław Kania i wiceszef MSW Franciszek Szlachcic – i przekonali gospodarza, że powinien zastąpić Gomułkę na fotelu szefa partii rządzącej Polską.

Następnego dnia, po posiedzeniu Biura Politycznego, w którym nie uczestniczył już Gomułka (odwieziony do szpitala w związku z pogorszeniem się stanu zdrowia), w niedzielę 20 grudnia w trybie pilnym zwołano w Warszawie VII plenum KC PZPR. Jedynym jego zadaniem było dokonanie zmiany na stanowisku I sekretarza KC PZPR. Gomułka, który w niesławie schodził ze sceny politycznej, zastąpił w tej roli dotychczasowy członek Biura Politycznego i zarazem I sekretarz KW PZPR w Katowicach Edward Gierka.

Zmiana ta, która kładła kres najbardziej gwałtownej, krwawej fazie kryzysu, została wymuszona tyleż społecznymi protestami, co była efektem wspomnianych zakulisowych rozgrywek w kierownictwie PZPR. A po kolejnych falach strajków ze stycznia i lutego 1971 r., z dniem 1 marca władze wycofały niefortunną grudniową podwyżkę cen. ♦

→ Prof. JERZY EISLER (ur. 1952) jest historykiem, dyrektorem Oddziału IPN w Warszawie. Zajmuje się historią najnowszej Polski i historią Francji. Prekursor badań na temat Marca '68. Profesor Instytutu Historii PAN. Autor m.in.: „Marzec 1968. Geneza – przebieg – konsekwencje” (1991); „Grudzień 1970. Geneza – przebieg – konsekwencje” (2000); „Polski rok 1968” (2006); „Polskie miesiące”, czyli kryzys(y) w PRL” (2008).

JAKĄ ROLĘ W DZIEJACH PRL ODGRYWAŁY KOLEJNE „POLSKIE MIESIĄCE”?

CZYM ROK 1970 RÓŻNIŁ SIĘ OD 1980?

O TYM DYSKUTUJĄ HISTORYCY ŁUKAŚ KAMIŃSKI I PAWEŁ MACHCEWICZ.

DEBATĘ PROWADZI ROMAN GRACZYK.

► **ROMAN GRACZYK:** Dlaczego, pomimo jego oczywistych niedogodności, a nawet niegodziwości – takich jak terror, nacjonalizacja własności, sowietyzowanie kultury – wielu ludzi w Polsce uznawało, że można w tym systemie żyć, a nawet wiązać z nim swoje aspiracje? Dlaczego wielu dokonało – przynajmniej częściowej – interioryzacji wartości komunistycznych, uznawało ten ustrój za swój, a co najmniej za możliwy do życia, co zawężyło bazę potencjalnych buntów?

PAWEŁ MACHCEWICZ: Tego systemu w Polsce by nie było, gdyby nie Armia Czerwona i sowiecka przemoc. Aż do roku 1987-88 panowało przekonanie o bezalternatywności systemu. Ale z czasem wytwarzał on mechanizmy poparcia i przystosowania. W okresie największego terroru na przełomie lat 40. i 50. równoległe do terroru działały mechanizmy pozytywne: były rzesze ludzi, którzy doświadczali awansu społecznego. I choć potem przychodziło rozczarowanie, dla wielu z nich początkowo był to awans właśnie, np. wyjście poza ograniczoną sferę bytowania wiejskiego.

Poza tym dosyć długo, może do początku lat 60., przeważało przekonanie, że ten system jednak modernizuje Polskę: buduje przemysł, urbanizuje, likwiduje analfabetyzm. Do pewnego momentu oceniano, że dystans do Zachodu się zmniejsza. Niebagatelne były też postawy dostosowania w przekonaniu, że tak czy inaczej radykalnej zmiany nie można dokonać i możliwe są tylko zmiany cząstkowe.

W tym sensie rok 1956 był dla milionów ludzi doświadczeniem, które pozwoliło im się pogodzić z systemem. Wcześniej był on postrzegany w masowej skali jako quasi-okupacyjny, narzucony z zewnątrz, skrajnie represyjny i dyktatorski, antynarodowy, antyreligijny i przez kolektywizację godzący w tradycyjne sposoby życia milionów mieszkańców wsi. A potem uznano, że da się w nim żyć: władza zrezygnowała z kolektywizacji, z masowego terroru, z sowietyzacji we wszystkich dziedzinach życia. To spowodowało, że ludzie zaczęli ten system postrzegać jako niewątpliwie dyktatorski, ale w dużej mierze swój.

ŁUKAŚ KAMIŃSKI: Nie do końca się z tym zgadzam. Powszechnie występowało zjawisko dostosowania się, natomiast dalej idące zjawisko akceptacji czy zaangażowania nie było powszechne – na szerszą skalę występowało jedynie wśród inteligencji.

Jeśli chodzi o interioryzację wartości komunistycznych, mówiłbym raczej o werbalnym przejęciu pewnych haseł, ale to było często używane zarazem przeciw władzy. Np. „wy mówicie, że my, robotnicy, jesteśmy klasą przodującą, więc dobrze, chcemy nią być, ale mamy złe warunki pracy, nie słuchacie naszego głosu” itd. Czyli to, co było przydatne, było akceptowane, ale to nie przekładało się na generalną akceptację systemu.

Ważnym powodem długiego trwania komunizmu w Polsce były skutki poszczególnych kryzysów. Na kryzys możemy patrzeć jako na problem dla systemu, moment zagrożenia jego istnienia. Ale można też popatrzeć z drugiej strony jako na szansę na wychwytnie jego niedoskonałości i ich korektę. Po zmianach system funkcjonuje lepiej, ale też staje się łatwiejszy do przystosowania się, jest mniej codziennych powodów do tego, żeby się sprzeciwić.

PAWEŁ MACHCEWICZ: Zgoda, że czym innym jest przystosowanie, a czym innym akceptacja. Zresztą jest pytanie: co rozumiemy przez termin „akceptacja”? Myślę, że to było coś innego niż akceptacja w warunkach pluralistycznego systemu politycznego.

Ale upierałbym się, że rok 1956 miał ogromne znaczenie dla poszerzenia nie tylko bazy przystosowania, ale także przejściowej akceptacji dla systemu. Przypomnę ten ogromny entuzjazm, który towarzyszył Gomułce. Myślę, że nie było innego momen-

tu w dziejach Polski po 1944 r., żeby którykolwiek polityk spotkał się z takim entuzjazmem. Ja w swojej książce o roku 1956 cytuję listy, które przysyłano do Gomułki; przysyłano mu też biżuterię, pieniądze, robotnicy dobrowolnie podejmowali zobowiązania produkcyjne.

Oczywiście to nie oznaczało wsparcia dla komunizmu, to było wsparcie dla konkretnego polityka, Władysława Gomułki, który postrzegany był jako polityk narodowy, który powiększa zakres polskiej autonomii wobec Moskwy, który chce budować socjalizm inny niż sowiecki. No i odbywa się to w sytuacji bezalternatywności. Gdyby w 1956 r. wrócił Mikołajczyk i odbudowałoby się PSL, to zapewne te nastroje przesunęłyby się w tę stronę.

ŁUKAŚ KAMIŃSKI: Czy to było poparcie dla programu Gomułki, czy dla wyobrażenia o tym programie? Moim zdaniem ludzie sobie tak wyobrazili Gomułkę i jego program, a mniej słuchali, co on rzeczywiście im mówi. Najlepszy przykład tej rozbieżności: dekoloktywizacja. Gomułka absolutnie nie chciał dekoloktywizacji. Powiedział tylko, że nie będzie przymusu kolektywizacji. Ale to natychmiast zostało zinterpretowane jako opowiedzenie się Gomułki za dekoloktywizacją. I nastąpiła żywiołowa dekoloktywizacja, a Gomułka nie miał innego wyjścia, jak zaakceptować ten stan rzeczy.

PAWEŁ MACHCEWICZ: Tak, Gomułka trochę co innego robił, a co innego obiecywał. Sposób, w jaki on wyszedł z kryzysu październikowego, jest majstersztykiem, na którym mogliby się uczyć także politycy demokratyczni. Więcej obiecywał, niż robił, ale robił rzeczy istotne. Jeden przykład: przecież zwolnienie prymasa Stefana Wyszyńskiego z internowania to była decyzja Gomułki, mimo że odwilż polityczna trwała już od kilku miesięcy. To budowało jego mit. Podobnie jak to, że oparł się Sowietom.

ŁUKAŚ KAMIŃSKI: Oparł się, ale nie tak, jak to się wtedy wydawało. Teraz to wiemy, bo znamy stenogramy z tych rozmów.

► **Dla jego legendy to nie miało wtedy żadnego znaczenia. Ważne było, że sprzeciwił się delegacji radzieckiej bawiącej w Warszawie.**

PAWEŁ MACHCEWICZ: To było tym ważniejsze, że nie chodziło tu – jak w roku 1980 i 1981 – o groźbę interwencji, ale o interwencję w toku, bo przecież oddziały sowieckie już szły na Warszawę.

► **Jest taki tekst Zygmunta Kubiaka z pierwszego numeru „Tygodnika Powszechnego” po jego wznowieniu [w latach 1953-56 „TP” był odebrany Jerzemu Turowiczowi i wydawany przez Stowarzyszenie PAX – red.], a więc na Boże Narodzenie 1956, dziś kompletnie zapomniany, a szalenie ważny. Jego tytuł brzmi „Natura i obłęd”, co dobrze oddaje myśl autora. Kubiak dowodzi w nim, że komunizm całkowicie lekceważy naturę człowieka, próbując ją zastąpić czymś lepszym, lecz że to lekceważenie prowadziło do zbrodni. Może nigdy potem, aż do lat schyłkowych PRL-u, w prasie polskiej nie pojawiła się tak dotkliwa demystyfikacja komunizmu. Powstaje więc pytanie: skoro przenikliwe umysły już wtedy dobrze rozeznawały istotę komunizmu, to dlaczego późniejsze analizy komunizmu i projekty zmiany politycznej były tak uwikłane w ten mit, i to nie tylko z powodów geopolitycznych?**

ŁUKAŚ KAMIŃSKI: Myślę, że to było skutkiem roku 1956. Pojawia się wtedy nowa kategoria osób sprzeciwiających się ustrojowi – rewizjoniści, potem „komandosi” – w jakiś sposób wywodzących się z komunizmu. Więc dla nich taka postawa jest naturalna: szukają zmiany, bazując na tym, co znają. Takie głosy, o jakich pan powiedział na przykładzie tekstu Kubiaka, schodzą więc na margines albo są formą potocznego wyrażania gniewu wobec komunizmu, ale nie jego analizą. Ludzie działający w dłuższej perspektywie, nie pod wpływem doraźnych emocji, raczej formułowali programy, które wydawały im się możliwe do realizacji, zgodnie z definicją polityki jako sztuki urzeczywistniania możliwego. Ale też ta radykalna perspektywa całkiem nie znika: ona jest np. w deklaracji programowej „Ruchu” [konspiracyjnej organizacji niepodległościowej, działającej w drugiej połowie lat 60. i rozbitej przez władze – red.].

PAWEŁ MACHCEWICZ: Oprócz „Ruchu” był nurt niewielkich podziemnych organizacji młodzieżowych w latach 60. Ale warto patrzeć na komunizm jako na część lewicowego mitu, który miał ogromną siłę oddziaływania. Ten mit obiecywał ludziom wyjście z biedy, nierówności społecznych, a w Październiku ’56 i jeszcze dłużej dobrze pamiętano np. polskie doświadczenia Wielkiego Kryzysu z lat 30., powszechną biedę itp. W tym sensie marksizm nie da się sprowadzić do Gulagu. Z tego mitu nie było łatwo się wyzwolić.

GARNE



► **Przebadałem dużą ilość akt operacyjnych Wydziału IV SB w Krakowie od późnych lat 50. Z tych dokumentów wyłania się obraz oficerów SB jako grupy zawodowej i jej ewolucja na przestrzeni dłuższego okresu. Pod koniec lat 50. oni działają w sposób, który znamionuje pewien wigor ideologiczny i przekonanie o długotrwałości systemu, któremu służą. 20 lat później już tego nie ma. To prowadzi mnie do pytania o wpływ kryzysów systemu na morale aparatu przemocy. Czy gdyby nie było destalinizacji, losy komunizmu w Polsce mogłyby się potoczyć zupełnie inaczej? Czy gdyby system nie miał po drodze paru wpadek, to ci oficerowie SB, o których mówię, że stracili ideologiczny wigor pod koniec lat 70., nadal by go mieli?**

ŁUKAŚ KAMIŃSKI: Dla esbeków doświadczenie kolejnych kryzysów systemu na pewno było w jakimś stopniu demoralizujące. Uczyło ich np. tego, że trzeba być ostrożnym, bo nie wiadomo, co za kolejnym zakrętem okaże się bardziej słuszne, a co mniej.

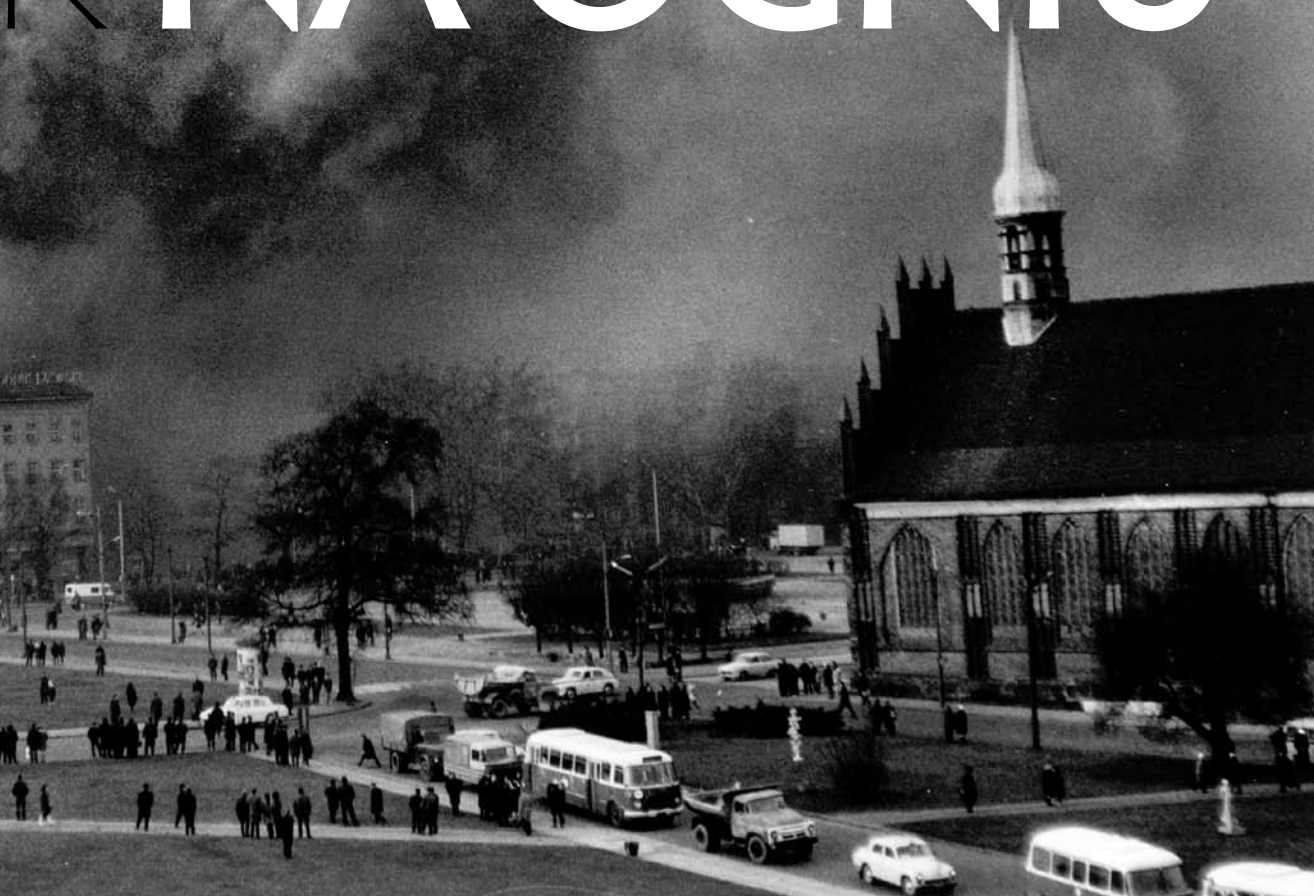
Co by się działo w Polsce, gdyby nie doświadczenie roku 1956? Mam na ten temat hipotezę, którą nazywam ekonomią oporu. Ludzie zasadniczo buntują się w dwóch sytuacjach. Albo wtedy, kiedy mają nadzieję na zmianę. Albo wtedy, kiedy są przyparci do muru. Takim buntem był opór chłopów przeciw kolektywizacji w latach 50. Przykładem takiego buntu na skalę bloku komunistycznego jest bunt w Braszowie w Rumunii w 1987 r. To jest jedyny bunt społeczny w Rumunii o szerszym wymiarze i on następuje nie w momencie liberalizacji, czyli nie po 1965 r. wraz z dojściem Ceausescu do władzy, ale w momencie największego nasilenia terroru.

Zatem nie da się odpowiedzieć na pytanie, czy system przetrwałby dłużej, gdyby nie było destalinizacji. Niektórzy mówią, że koniec komunizmu zaczyna się w roku 1956. Moim zdaniem można też spojrzeć na to inaczej: gdyby nie doszło do tej korekty z 1956 r., system nie dostałby nowej szansy i upadłby szybciej.

PAWEŁ MACHCEWICZ: Nie do końca zgadzam się z obserwacją dotyczącą załamania się morale w SB. Oczywiście z biegiem lat wyczerpywały się motywacje ideologiczne funkcjonariuszy aparatu bezpieczeństwa. Ale to nie oznacza, że zmniejszała się ich lojalność i gotowość do obrony systemu. Zauważmy, że w fazie wciąż ideologicznej, w roku 1956, pod wpływem referatu Chruszczowa i krytyki represyjnych metod w Polsce ten aparat na jakiś czas staje się zupełnie zdezorientowany i nie może być skutecznym narzędziem w ręku władzy – to oczywiście mija. A w roku 1980, w fazie nieideologicznej, nic nie wiemy o tym, żeby funkcjonariusze dystansowali się od władzy, a wiemy, że byli gotowi bronić systemu.

KNA O GNIU

Szczecin, grudzień 1970 r.



► **Miałem na myśli raczej to, jak oni pracowali. Pod koniec lat 50. działają z dużą pewnością siebie, jak zaplanują jakieś działanie wobec osoby, którą chcą zwerbować, to je bez wahań wykonają, włącznie z tym, że bez pytania nachodzą ludzi w domu – i są skuteczni. 20 lat później niektóre werbunki ciągną się latami, ponieważ plany są niezdecydowane i stronią od środków gwałtownych – a to gorzej działa.**

PAWEŁ MACHCEWICZ: Nie jestem pewien, czy cezurą nie jest tutaj rok 1955-56. Bo wcześniej ten aparat był bardzo zmobilizowany, działał w warunkach powszechnego strachu i poczucia zagrożenia, wtedy mógł sobie na dużo pozwolić. W latach 60. ten aparat jest bardziej wykształcony i w pewnych wymiarach staje się bardziej skuteczny. I, z kolei, jego wielka mobilizacja, która następuje w celu rozbicia Solidarności i potem penetracji podziemia solidarnościowego, jest jednak przykładem skutecznej działalności, chociaż nie motywowanej już wiarą w marksizm-leninizm.

Ale chciałbym się jeszcze odnieść do pytania, jak się ma liberalizacja systemu do kryzysów systemu. Myślę, że to jest pewna prawidłowość: że reformowanie jest najniebezpieczniejszym momentem dla reżimów komunistycznych i szerzej w ogóle dla reżimów dyktatorskich. Gdy zaczyna się liberalizować – na to zwrócił uwagę już Tocqueville, opisując drogę do Rewolucji Francuskiej – powoduje to erozję systemu. Lata po śmierci Stalina są tej prawidłowości klasycznym przykładem. Bunt w NRD w czerwcu 1953 r. następuje też w warunkach liberalizacji, której patronuje Beria.

Tak samo polski Czerwiec '56 następuje w warunkach zaawansowanej już „odwilży”, u robotników Poznania obniża się bariera strachu i oni jakby wypróbują, na ile sobie mogą pozwolić; są masówki w zakładach pracy, coraz ostrzejsze żądania. A z kolei aparat bezpieczeństwa nie bardzo wie, jak działać w zmienionych regułach. Bezpieka doskonale wiedziała, co się szykuje, więc gdyby to się działo rok wcześniej, to tych najbardziej aktywnych robotników by aresztowano i bunt by uśmiercono przed wybuchem. Natomiast w 1956 r. na naradzie, która się odbywa w przeddzień wydarzeń z 28 czerwca, zapada decyzja absolutnie połowiczna: aresztowania tylko jednego robotnika z Zakładów Naprawczych Taboru Kolejowego. W ten sposób niczemu nie zapobieżono.

Zatem niewątpliwie liberalizacja sprzyja buntom, ale nie zawsze bunt następuje w momencie liberalizacji. Np. w Grudniu '70 nie było żadnej liberalizacji, tylko ludzie poczuli się zdesperowani.

► **Wyobraźmy sobie, że Lechosław Goździk, przywódca robotniczy z Października '56, objawia się w 1988 r. na strajku w Nowej Hucie czy w Stalowej Woli i mówi do strajkujących to, co mówił w Październiku: towarzysze, trzeba po-**

przeć naszych sprawdzonych towarzyszy, którzy kandydują do Biura Politycznego PZPR, bo wtedy nasze postulaty zostaną spełnione. Goździk w Październiku '56 mówił jak przedstawiciel klasy robotniczej, podmiotu dziejów w rozumieniu marksistowskim, jak ktoś, kto wierzy w tę obietnicę – i buntownicy wtedy słuchali tych słów ze zrozumieniem. Ale ktoś taki w roku 1988 byłby przez robotników przegrany precz. Dlaczego oblicze buntownika tak bardzo się zmieniło? Czy można powiedzieć o jakimś kumulowaniu doświadczeń?

ŁUKASZ KAMIŃSKI: W tej paraleli jest coś, z czym bym się nie zgodził. Bo moim zdaniem bunt z roku 1956 i bunt z lat 80. są najbardziej do siebie podobne. Natura żądań społecznych w roku 1956 i w roku 1980 była dość zbliżona, natomiast przywódcy byli inni.

PAWEŁ MACHCEWICZ: Goździk rzeczywiście nie byłby zrozumiany w roku 1988. Ale w roku 1980 już by znalazł większy posłuch. Myślę, że w latach 80. dokonana się już taka ostateczna, masowa kompromitacja komunizmu i jego delegitymizacja w wymiarze ideowym. Ludzie zdali sobie sprawę z tego, że wprawdzie nie ma starych nierówności, takich jak przed wojną, ale powstały nowe, nowa klasa uprzywilejowana. A także, że ten system już niczego nie modernizuje, lecz pogłębia zacofanie, nie daje żadnych szans na rozwój.

Warto zwrócić uwagę na bezpośrednie lekcje z poprzednich kryzysów. Porównajmy rok 1970 z 1980. Wśród postulatów zgłaszanych w Grudniu '70 znajdziemy np. hasła związków zawodowych, niezależnych od biurokracji partyjnej i związkowej. To przykład Ogólnomiejskiego Komitetu Strajkowego w Szczecinie. Ale choć takie postulaty były, wszystko potoczyło się inaczej niż 10 lat później – i na tym polega lekcja, która została odrobiona. W 1970 r. w Szczecinie negocjacje toczył Komitet w okrojonym składzie, z udziałem delegatów tylko dwóch zakładów pracy, poza terenem stoczni, i robotnicy dali się w końcu zmanipulować.

Tak więc w 1980 r. stocznicy wiedzieli, że tego rodzaju postulatomu muszą towarzyszyć gwarancje, iż niezależne związki powstaną naprawdę, że trzeba negocjować na swoim terenie, i że dobrym sposobem protestu jest strajk okupacyjny, a nie wyjście na ulice.

► **Andrzej Paczkowski policzył, że w latach 70. było po kilkudziesięć strajków rocznie, czyli że ten bunt tlił się cały czas. Pan dr Kamiński sformułował kiedyś tezę, że w gruncie rzeczy w PRL trwał permanentny kryzys, który objawiał**

się raz mocniej, a raz słabiej. Jaki model wyjaśniający wydaje się Panom najlepszy?

ŁUKASZ KAMIŃSKI: Wprowadzi wielokrotnie tę tezę stawałem, ale jako pierwszy chyba postawił ją profesor Paczkowski. Posłużyłbym się tu modelem kulinarnym. Z tym tylko, że on pasuje wyłącznie do sytuacji polskiej, a nie pasuje do opisu dziejów komunizmu w żadnym innym kraju bloku komunistycznego w Europie.

Mamy więc garnek na ogniu. Garnkiem jest komunizm w Polsce, a ogniem całe nasze niedopasowanie do komunizmu, np. dziedzictwo historyczne. W związku z tym ogień buzuje, przykrywka na garnku cały czas podskakuje, raz bardziej, a raz mniej. Komunisci mogą sytuację ratować albo dmuchając do garnka, albo obciążając przykrywkę. W garnku ciągle wrze, ale co kilka-kilkanaście lat dochodzi do kipienia.

System komunistyczny w Polsce – w odróżnieniu od „bratnich krajów” – nigdy nie miał okresów prawdziwej stabilizacji, to znaczy takiej, gdy mechanizmy systemowe naprawdę dobrze funkcjonują. Nigdy nie był w stanie zapewnić zaopatrzenia konsumpcyjnego na przyzwoitym poziomie, nigdy podstawowe funkcje gospodarcze państwa nie były wypełniane.

PAWEŁ MACHCEWICZ: Nie zgadzam się. Był okres początków Gierka, był okres 1957-1959. Moim zdaniem takie krótkie okresy można wskazać, kiedy jest społeczne poczucie stabilizacji.

ŁUKASZ KAMIŃSKI: Nie bardzo. W roku 1957 było kilkadziesiąt strajków.

PAWEŁ MACHCEWICZ: Ale ile było tych strajków w roku 1957 i jakie? Bo izolowane, niewielkie strajki nie zmieniają poczucia stabilizacji, o którym mówię.

ŁUKASZ KAMIŃSKI: Nie policzyliśmy tego jeszcze dokładnie, ale było kilka wielkich strajków. Mamy wielki strajk w Bydgoszczy, wielki strajk w Łodzi, brutalnie spacyfikowany. Broniłbym swojej hipotezy. Bo strajki to jedno, a drugie to poziom akceptacji społecznej. I właśnie liczba protestów społecznych w Polsce – czyli co kilka lat duży wybuch, a pomiędzy nimi wiele lokalnych protestów – świadczy o tym, że ten system właściwie nigdy nie został zaakceptowany.

PAWEŁ MACHCEWICZ: Jestem sceptyczny wobec tezy, że komunizm w Europie Środkowej był w stanie permanentnego kryzysu.

► **W Europie Środkowo-Wschodniej nie, ale w Polsce być może tak. Rozumiem, że Panowie zgadzacie się co do tego, że odmienność Polski w tym zakresie od innych krajów bloku była uderzająca.**

PAWEŁ MACHCEWICZ: Zgadzam się z dr. Kamińskim w tej sprawie. Nie zgadzam się jednak z tym, że polska inteligencja w swej większości zaakceptowała system. Jest taka książka Johna Connelly'ego pt. „Captive University”, która w przekonujący sposób pokazuje, że – w odróżnieniu od Czechosłowacji czy Niemiec Wschodnich – w Polsce komunistom zabrakło dostatecznie licznych i zdeterminowanych kadr, żeby w pełni zsovietyzować uniwersytety.

ŁUKASZ KAMIŃSKI: Jest pytanie, czy tych odmienności nie powinniśmy szukać także po stronie komunistycznej.

PAWEŁ MACHCEWICZ: Zgoda. U nas nie doszło do procesu Gomulki, zaś w Czechosłowacji był proces Slanskiego, a na Węgrzech proces Rajka. To pokazuje, że nawet model stalinizacji był w Polsce nieco inny, pod pewnymi względami łagodniejszy. ♦

→ Dr ŁUKASZ KAMIŃSKI (ur. 1973) jest historykiem, dyrektorem Biura Edukacji Publicznej IPN i pracownikiem Instytutu Historycznego Uniwersytetu Wrocławskiego. Opublikował m.in. „Opór społeczny w Europie Środkowej w latach 1948–1953 na przykładzie Polski, NRD i Czechosłowacji”; „Wokół pogromu kieleckiego” (redaktor); „Przed i po 13 grudnia. Państwa Bloku Wschodniego wobec kryzysu w PRL 1980–1982” (redaktor).

→ Prof. PAWEŁ MACHCEWICZ (ur. 1966) jest historykiem, dyrektorem Muzeum II Wojny Światowej w Gdańsku i profesorem Uniwersytetu Mikołaja Kopernika w Toruniu. W latach 2000–2006 był dyrektorem Biura Edukacji Publicznej IPN. Opublikował m.in.: „Władysław Gomułka”; „Polski rok 1956”; „Wokół Jedwabnego” (redaktor); „Monachijska menażeria. Walka z Radiem Wolna Europa 1950–1989”.

Polskie kryzysy na tle „demoludów”

Ważną cechą społeczeństwa ZSRR był ulomny i nieciągly charakter jego pamięci historycznej. Był to rodzaj *tabula rasa* po zlikwidowaniu wielkiego odsetka ludzi z klas posiadających, poważnej części inteligencji rosyjskiej i inteligencji innych narodów, a także – przez czystki – elity rządzącej. Mordowano ludzi myślących i niezależnych, ale też buntowników najróżniejszej proveniencji. Gdy więc nadeszła epoka *glasnosti* Michaiła Gorbaczowa, nawiązywano tam głównie do odległej, wręcz przedrewolucyjnej przeszłości i doświadczeń.

Inaczej było w krajach zwasalizowanych przez Moskwę w wyniku II wojny światowej. Pamięć o przeszłości była tu mniej czy bardziej – jak w Polsce – zakorzeniona także dlatego, że żyli jeszcze ludzie, którzy pamiętali czasy przedkomunistyczne, a także liczni ci, którzy uczestniczyli w zrywach wolnościowych i demokratycznych.

Destalinizacja i jej skutki

Podczas gdy wcześniejsze, sprzed lat 1955-56, naśladownictwo modelu radzieckiego w krajach wasalnych było na ogół dosłowne, to po śmierci Stalina i walkach diadochów, zakończonych zwycięstwem Nikity Chruszczowa i przyspieszeniem destalinizacji po XX Zjeździe KPZR, Związek Radziecki przestał być dla państw ościennych „matrycą”. Oczywiście, trwał narzucony sojusz gospodarczy (RWPG) i militarny (Układ Warszawski), ale mechanizm prostego przenoszenia wzorów z kremłowskiej centrali stał się właściwie nieaktualny, a w Polsce może jeszcze mniej oczywisty.

Był to zwłaszcza skutek demystyfikacji Stalina. Tak się musiało stać, skoro ogrom zbrodni okresu stalinowskiego trzeba było jakoś wytłumaczyć, a wygodnym wyjaśnieniem było zrzucenie winy na samego despotę. Siła destrukcji mitu Stalina była ogromna, ale przebiegała odmiennie w poszczególnych partiach rządzących w państwach bloku. Ograniczając się tu do PZPR, powiedzmy, że prócz rewelacji z tajnego referatu Chruszczowa były jeszcze, poprzedzające i przyspieszające je, rewelacje płk. Józefa Światły – wysokiego funkcjonariusza Ministerstwa Bez-

KRYZYSY W PRL NIE BYŁY OD SIEBIE IZOLOWANE:

SPOŁECZEŃSTWO PAMIĘTAŁO POPRZEDNIE „MIESIĄCE”, CO SPRZYJAŁO KSZTAŁTOWANIU SIĘ SPOŁECZNYCH ZACHOWAŃ WOBEC WŁADZY I PRZEKAZYWANIU ICH NASTĘPNYM POKOLENIOM.

JAN KOFMAN

pieczeństwa Publicznego, który uciekł na Zachód – przekazywane do kraju przez Radio Wolna Europa. Także pod ich wpływem odwołano Stanisława Radkiewicza, szefa MBP, zmieniono jego strukturę i wszczęto śledztwa przeciw niektórym jego funkcjonariuszom.

Destalinizacja w ZSRR nigdy nie poszła tak daleko jak w Polsce czy Czechosłowacji z lat 1967-68. Nadto hamowana była nawrotami twardej linii ideologicznej i politycznej, duchem ze stalinizmu. Nie oznaczała też zrygnięcia przez Kreml z polityki utrzymania żelazną ręką porządku w jego imperium zewnętrznym.

Niemniej dyrektywy płynące z Moskwy już nie obowiązywały bezwzględnie, przynajmniej nie zawsze, a „bratnie” partie w wasali zyskiwały status satelitów. Nie było to mało – starczy np. porównać stosunki z Moskwą dwóch przywódców PZPR, Bolesława Bieruta i Władysława Gomułka, czy specjalną pozycję Nicolae Ceaușescu w Rumunii. Tej ogólnej ewolucji sprzyjały policentryczny charakter międzynarodowego ruchu komunistycznego, rywalizacja radziecko-chińska, eurokomunizm jako odpowiedź na zgniecenie w 1968 r. Praskiej Wiosny, wreszcie spontaniczna reakcja różnych kręgów lewicy w Europie i świecie na powstanie Solidarności.

Wszystko to jednak nie oznacza, że komunizm przestał być totalitarny. Przeciwnie i w Polsce niemal do końca realnego socjalizmu PZPR kontrolowała główne instrumenty władzy totalnej, których w razie potrzeby mogła użyć.

Polska powtarzalność

Polskie kryzysy nie były od siebie izolowane mentalnie ani świadomościowo, gdyż społeczeństwo pamiętało poprzednie „miesiące”. Sprzyjało to kształtowaniu się społecznych zachowań wobec władzy i przekazywaniu ich następnym pokoleniom. W ten sposób uczestnicy kolejnych buntów okazywali się zwykle mądrzejsi od poprzedników. Niewątpliwie także władza częściej reagowała rozważnie.

Na Węgrzech w 1956 r. wybuchło prawdziwe powstanie, wręcz rewolucja; w Berlinie w czerwcu 1953 r. miał miejsce rzeczywisty bunt robotników – oba wystąpienia zakończyły się bezpośrednio kłękami i równie skrajnie negatywnymi skutkami dalszymi; oba zostały stłumione przy decydującym udziale wojsk ZSRR. Natomiast Grudzień '70, choć tragiczny, w swych skutkach politycznych okazał się przecieży pozytywny, także odnośnie zachowań władzy wobec następnych buntów. W Czerwcu '76 i Sierpniu '80 Edward Gierek nie odważył się na takie represje, na jakie zdecydował się Gomułka w Grudniu '70, a które – za przyzwoleniem i poduszczeniem Kremla – zmioły go ze sceny politycznej.

Specyfiką polską była powtarzalność wielkich kryzysów i wstrząsów społecznych, niewystępująca gdzie indziej. W Czechosłowacji w czerwcu 1953 r. odnotowano bunt o cechach zbrojnego powstania, a potem właściwie już tylko Praską Wiosnę (choć był to potężny ruch wolnościowy, który wstrząsnął całym blokiem). Później czechosłowacka Karta '77 miała już ograniczony zasięg oddziaływania i objęła raczej niewielką grupę intelektualistów i inteligencji.

Na Węgrzech powstanie z 1956 r. miało cechy ruchu narodowego i wolnościowego – inaczej niż polskie bunty i wstrząsy, których składnik narodowy był przeważnie nieco ukryty ze względu na okoliczności geopolityczne.

Trudne warunki materialne, cięższe niż w Polsce, występowały zapewne w Bułgarii, a na pewno w Rumunii. Ale Bułgarzy właściwie się nie buntowali. Rumuńscy górnicy zastrajkowali na większą skalę w 1977 r., a w lutym 1987 r. w Braszowie robotnicy wzniesili bunt na tle warunków bytowych

i stosunków pracy. Jednak w obu państwach panowała bezwzględna dyktatura, w kraju Ceaușescu w istocie stalinowska i totalna.

Tradycje i traumy

Polskie „miesiące” miały też swoje insurekcyjne tradycje, będące skutkiem przejmowania przez naród i społeczeństwo szlacheckiej (czy raczej postszlacheckiej) mentalności, a także intensywnego wychowania patriotycznego w II Rzeczypospolitej. Ale razem, jeśli chodzi o treść formułowanych żądań i ich artykulację, owe „miesiące” odznaczały się rodzajem powściągliwości – niewątpliwie wynikającej z pamięci o polskich traumach, zwłaszcza tej dotyczącej Powstania Warszawskiego.

Mentalnego rodowodu szlacheckiego nie było natomiast w Czechach i na Słowacji, która miała dodatkowo świeżą świadomość odrębności narodowej. Węgrzy byli wprawdzie podobni do Polaków, ale po 1956 r. ciążyła na nich trauma kłęski, która powściągała ich poczynania. ZSRR dwa razy zbrojnie interweniował na Węgrzech: 24 października 1956 r. oraz – po ogłoszeniu przez Imre Nagya powrotu do systemu wielopartyjnego i wystąpienia Węgier z Układu Warszawskiego oraz ogłoszeniu neutralności – 4 listopada 1956 r. Za drugim razem na Węgry wkroczyło ok. 60 tys. radzieckich żołnierzy, walki pochłonęły kilka tysięcy ofiar, 200 tys. ludzi uszło na Zachód, w więzieniach przetrzymywano kilkanaście tysięcy (amnestię ogłoszono dopiero na początku lat 60.).

Z czasem komuniści węgierscy zdecydowali się na zliberalizowanie gospodarki i odwilż w kulturze. Podniosła się stopa życiowa, można było wyjeżdżać za granicę, względny dobrobyt odwołał od buntów – „gulaszowy socjalizm” działał, rodząc też zachowania bardziej wsobne, wyrażające się choćby w objawach niechęci Węgrów wobec Polaków, uznanych za „konkurentów” na wewnętrznym rynku dóbr konsumpcyjnych.

Z wyjątkiem Węgier (w 1956 r.), w żadnym kraju bloku nie nastąpiło tak głębokie załamanie partii komunistycznej, jak w Polsce lat 1980 i 1981/82; partię opuściło wtedy ponad 800 tys. osób. Wojciech Jaruzelski – energicznie nakłaniany do tego przez innych przywódców komunistycznych, zwłaszcza

REKLAMA

REWOLTA GRUDNIOWA

INSTITUT PAMIĘCI NARODOWEJ

Gdynia • Gdańsk • Szczecin

45 ZABITYCH
1165 OSÓB ZOSTAŁO RANNYCH
KILKA TYSIĘCY ZATRZYMANEYCH

Najnowszy portal grudzien70.ipn.gov.pl

IPN na 40. rocznicę Grudnia '70

► Film fabularno-dokumentalny o charakterze edukacyjnym „Dlaczego? Czarny czwartek. Gdynia '70”.

Wyjaśnia on genezę, przebieg i skutki rewolty grudniowej z 1970 r. Adresowany do młodego pokolenia, film powstał na bazie pierwszego filmu fabularnego „Czarny czwartek” w reż. Antoniego Krauze, który trafi do kin na początku 2011 r. Film edukacyjny przedstawia nieznaną relację świadków, a także rekonstrukcję wydarzeń z 1970 r. na Wybrzeżu. Ze względu na walory artystyczne, zostanie też zaprezentowany na tegorocznym Międzynarodowym Festiwalu Autorów Sztuki Filmowej Camerimage w Bydgoszczy.

► IPN uruchomi kolejny edukacyjny portal www.grudzien70.ipn.gov.pl. Będzie on zawierać m.in. wstęp historyczny, kalendarium, unikalne materiały dokumentalne i zdjęcia oraz filmy, m.in. dokument Jerzego Eislera i Jacka Sawickiego „Dni, które wstrząsnęły Polską”.

► Broszura pt. „Czarny Czwartek. Grudzień '70. Materiały edukacyjne” zostanie rozesłana do szkół. Zawiera materiały dla nauczycieli i uczniów; dodatkiem do nich będą dwa filmy: „Dlaczego? Czarny czwartek. Gdynia '70” i „To nie na darmo”. Instytut wraz z firmą Kino Świat (będącą dystrybutorem filmu fabularnego „Czarny czwartek”) przeprowadzi kampanię edukacyjną w szkołach, organizując prelekcje historyków przed pokazami kinowymi.





Ulice Gdańska, grudzień 1970 r.

radzieckich – uznał wówczas, że jedynym ratunkiem dla reżimu jest odwołanie się do użycia wojska, wszystkich sił porządkowych i służb specjalnych na skalę wręcz niespotykaną. Zatem wybrano wariant często stosowany w Ameryce Łacińskiej. Był to pośredni dowód głębokości kryzysu systemu.

Odmiennością niespotykaną w innych krajach była też rola Kościoła i, od 1978 r., oddziaływanie na polskie społeczeństwo charakterystyczne postaci Jana Pawła II – zdecydowanie silniejsze niż gdzie indziej. Ale siła Kościoła była nie tylko siłą instytucji, lecz przede wszystkim zakorzenienia wiary. W Polsce nie było takich podziałów religijnych jak na Węgrzech czy w Rumunii, ani takich tradycji laicyzacyjnych jak w Czechosłowacji. O tym zakorzenieniu świadczyły poniekąd zachowania ludzi z „obozu władzy”: na co dzień nie będąc religijni, niespecjalnie obawiali się np. chrzczyć dzieci – co w NRD czy Czechosłowacji było nie do pomyślenia.

Odmiennością polską było też nieskołektywizowane rolnictwo: chłopcy pracujący na swoim i dla siebie – co miało oczywisty wpływ na postawę ludności wiejskiej.

Komuniści kontra komuniści

Stalinizm w Polsce trwał nieco krócej niż w innych krajach bloku, a terror – choć najpierw masowy, a później powszechny (rozróżnienie jego faz za Andrzejem Paczkowskim) – nie był tak krwawy w porównaniu z innymi reżimami, ze względu m.in. na słabe zakotwiczenie komunizmu, niechęć czy w pewnych okresach wrogość do niego ze strony społeczeństwa, siłę Kościoła. O polskiej odmienności świadczy tu poniekąd *casus* Władysława Gomułki: więzionego, ale nie skazanego. Gomułka był przekonany komunistą, ale miał charakter, potrafił się nie zgadzać ze Stalinem. W innych krajach, w „procesie zaostrzającej się walki klasowej” (jak wtedy lubiano to określać) szybko rozprawiano się z mniej czy bardziej oczywistymi oponentami obowiązującej linii. Gomułka przeżył, choć popadł w niełaskę.

Ówczesny lider Bolesław Bierut, mimo kilku przygotowywanych już po śmierci Stalina wersji rozprawy z Marianem Spychalskim, bliskim współpracownikiem Gomułki, nie zdecydował się jednak na proces tego

pierwszego. Wiadomo, że gdyby to nastąpiło, uruchomiony mechanizm najprawdopodobniej objąłby Gomułkę jako przywódcę tzw. odchylenia prawicowo-nacjonalistycznego. Choć gorliwość ówczesnego kierownictwa PZPR w walce z wrogami prawdziwymi czy wymagowanymi była oczywista (dowodem choćby wyroki śmierci wydawane na generałów i oficerów w sfiingowanych procesach, nie mówiąc już o tysiącach innych ofiar), to nie była tak wielka jak u sąsiadów – nie było w Polsce procesów typu László Rajka czy Rudolfa Slánskiego.

Dlaczego tak się stało, historycy tłumaczą różnie. Np. tym, że w kierownictwie PZPR silna była pamięć o losie KPP, do której dziedzictwa PZPR się odwoływała: przebywające w ZSRR przywództwo KPP zostało zlikwidowane, a partia w 1938 r. rozwiązana. Co oczywiście nie wykluczało w pełni hołdowniczego stosunku PZPR do Moskwy.

Kremł i polskie bunty

Inny był też kształt i oddziaływanie polskiej opozycji, zwłaszcza od końca lat 70., zdecydowanie liczniejszej i silniejszej niż gdzie indziej – w innych krajach bloku takiego zjawiska nie było. A pewne znaczenie dla specyfiki Polski miało i to, że była dużym krajem, stąd i skala możliwego sprzeciwu była większa – przykładem liczebność Solidarności (ponad 9 mln członków), która w żaden sposób nie pasowała do ram ustrojowych i ideologicznych PRL. Toteż i interwencja zbrojna Kremla w Polsce byłaby dlań w każdym przypadku skrajnie niewygodna, jeśli nie ryzykowna – ze względu na możliwe rozmiary i formy oporu.

Najbliżej podjęcia takiej decyzji Kremł był dwukrotnie. Najpierw w Październiku '56, gdy odnotowano już ruchy wojsk radzieckich stacjonujących w Polsce w kierunku Warszawy. Uważa się, że Moskwa nie interweniowała wtedy militarnie z dwóch przynajmniej powodów: nacisku Pekinu, by z tego zrezygnowała, i obietnic Gomułki złożonych Chruszczowowi, że PRL pozostanie w Układzie Warszawskim i RWPG, i że nie będą kwestionowane podstawy ustroju. Po raz drugi Moskwa była bliska interwencji w grudniu 1980 r. (zrezygnowano z niej m.in. w wyniku ostrzeżenia Moskwy przez

USA). Ale w Polsce lat 1980-81 twardogłowi – inaczej niż Vasil Bilak i Alois Indra w Czechosłowacji w 1968 r. – nie wezwali zbrojnej „bratniej pomocy” (choć może nie byli od tego dalecy, jak dowodzi rozgrywka we władzach partii i państwa w półroczu poprzedzającym stan wojenny).

Niewątpliwą odmiennością w zestawieniu z niektórymi sąsiadami Polski był wspomniany, nikły historycznie poziom wpływów komunizmu. W NRD była silna tradycja komunistyczna jeszcze sprzed roku 1933; w Czechosłowacji przed II wojną liczna partia komunistyczna miała swą reprezentację w parlamencie, a po wojnie, jeszcze przed puczem z 1948 r., była już bardzo znaczną siłą. Koloryt polski wyrażał się też w silnych nastrojach antyrosyjskich – co nie było w regionie wyjątkiem (podobnie odczuwali Węgrzy czy Rumuni), ale było mocniej zakodowane w społecznej pamięci (XIX-wieczne powstania, wojna 1920 r., 17 września 1939 r., Katyń).

Gomułka zatoczył koło

Politologowie i historycy dziejów najnowszych, np. Jerzy Holzer, wychwycili interesującą zależność: w sytuacji, gdy dochodziło do żywiołowych buntów na dużą skalę, władze komunistyczne reagowały na nie ostrymi represjami z użyciem wojska (np. bunt w czeskim Pilźnie w czerwcu 1953 r., polskie Czerwiec '56 i Grudzień '70), a czasem też z przywołaną militarną ingerencją radziecką (Berlin '53, Węgry '56). Gdy natomiast uczestniczy wystąpienia zdołali utrzymać je w ryzach, władze sięgały raczej po rozwiązania polityczne (Październik '56, Sierpień '80): albo unikano wtedy nacisku Kremla, albo mimo tego nacisku znajdowano wyjście polityczne. W sierpniu 1980 r. Gierek nie poszedł za radą ambasadora ZSRR, by użyć siły – choć też zapewne nie wiedział o powołaniu w końcu tego miesiąca komisji Biura Politycznego KC KPZR, kierowanej przez Michaiła Susłowa, która analizowała sytuację w Polsce. W każdym razie Gierek odszedł, nie naśladowując wariantu Gomułki z 1970 r.

Wprawdzie w Czechosłowacji w 1968 r. zmiany nie miały charakteru żywiołowego, ale tamtejsza partia podjęła przynajmniej dwie decyzje nie do zaakceptowania przez Kreml: zgodziła się na pluralizm polityczny i zniosła cenzurę. Dodać trzeba, że istotny wpływ na podjęcie decyzji o interwencji i wejściu do Czechosłowacji „bratnich” wojsk 21 sierpnia 1968 r. miały namowy Gomułki i Waltera Ulbrichta z NRD. Tak oto Gomułka zatoczył koło: zaczynał jako przywódca niesiony przez Polaków na rękach, ten, który sprzeciwiał się naciskom ZSRR i groźbie interwencji – a kilkanaście lat później popychał Leonida Breżniewa do militarnej akcji w sąsiednim państwie, by w końcu rzucić wojsko do stłumienia protestów na Wybrzeżu i rozważyć wezwanie Kremla na pomoc...

Natomiast Gierkowi i Stanisławowi Kanii w sierpniu 1980 r., podobnie jak później Jaruzelskiemu – jako że nie byli reformatorami partyjnymi – ani w głowie były ustępstwa w rodzaju poczynionych w 1968 r. przez Alexandra Dubčeka w Czechosłowacji. Zresztą doktryna Breżniewa już przecież obowiązywała.

Rzecz o gospodarce

Polskie „miesiące” i podobne wydarzenia w innych krajach odzwierciedlały narastające systemowe sprzeczności realnego socjalizmu – rozdźwięk między głoszoną ideologią a rzeczywistością społeczną, w tym możliwościami realizacji komunistycznych obietnic. Wyczerpawszy tzw. proste rezerwy rozwojowe, system – i w ZSRR, i w różnym

stopniu w państwach satelickich – usiłował wejść na drogę modernizacji. Nigdzie się to nie udało: nieznaczne modyfikacje systemu nakazowo-rozdzielczego nie mogły wprowadzić gospodarki na tory innowacyjności (nadt, zmiany były hamowane przez inercję i skostnienie systemu politycznego; także interesy systemowych elit, w tym administracji i kadr zarządzających gospodarką, blokowały próby śmielszych reform).

Paradoksalnie, te systemowe sprzeczności potwierdza przykład zawrotnego rozwoju gospodarczego Chin, uruchomionego dzięki szerokiemu wprowadzeniu elementów gospodarki rynkowej. Ekonomicznie sprawny komunizm nie jest możliwy, bo też i Chiny Ludowe nie są już komunistyczne. Choć władzę nadal sprawuje KPCh, jej ideologia jest sztafażem przykrywającym hybrydową (w tym klanowo-rodzinną) strukturę własności i panowania oraz wielkie zróżnicowanie społeczne. Chiny są nadal państwem autorytarnym czy nawet totalnym. Ich przykład dowodzi jednak, że aby osiągnąć rzeczywistą konkurencyjność ekonomiczną, należy znieść władzę ideologii nad gospodarką, a to oznacza koniec komunizmu, tak jak go dotąd rozumiano.

Nie powinno więc dziwić, że próby zmian gospodarczych w państwach bloku nie udawały się lub nie przynosiły długotrwałych efektów. Tak stało się również z reformami, które kiedyś cieszyły się nawet niezłą opinią: na Węgrzech, w CSRS czy NRD (choć pozostawały one ludzom trochę lepiej żyć i przejściowo stabilizowały system).

Natomiast w PRL wszystkie podejścia do reform gospodarczych kończyły się niepowodzeniem. Także dlatego przyczyny polskich „miesiący” (wyjąwszy może Październik '56 i z pewnością Marzec '68) kryły się w złej sytuacji materialnej ludzi, braku towarów czy chronicznej nierównowadze rynkowej, której usiłowano zaradzić przez mniej lub bardziej drastyczne podwyżki cen artykułów pierwszej potrzeby, zwłaszcza żywności.

Również i w tym wyrażała się owa polska specyfika... ♦

→ Prof. JAN KOFMAN (ur. 1941) jest politologiem i historykiem, pracuje w Instytucie Historii Uniwersytetu w Białymstoku i w Instytucie Studiów Politycznych PAN. W latach 80. redaktor naczelny podziemnego Kwartalnika Politycznego „Krytyka”. Autor książek, m.in.: „Lewiatan a podstawowe zagadnienia ekonomiczno-polityczne Drugiej Rzeczypospolitej”; „Transformacja i postkomunizm” (z Wojciechem Roszkowskim).

Zanim nastał Sierpień '80

Dlaczego nie da się zrozumieć polskiego roku 1980 bez znajomości wydarzeń z grudnia roku 1970? Czy w 1980-81 r. polscy komuniści podejmowali samodzielne działania wobec Solidarności, czy też realizowali wytyczne z Kremla? Czy kolejne kryzysy polskiego komunizmu można nazwać jednym przewlekłym kryzysem systemowym?

Opowiada o tym w rozmowie z „Tygodnikiem” ANTHONY KEMP-WELCH, brytyjski historyk i wykładowca University of East Anglia, specjalizujący się w dziejach Polski i Rosji. Tłumaczenie jego książki „Polska pod rządami komunistów 1944-1989” ukazało się właśnie nakładem Wydawnictwa Uniwersytetu Jagiellońskiego.

Rozmowę publikujemy na naszej stronie internetowej www.tygodnik.onet.pl (w dziale historia).

Widziałem plamy krwi



Gdańsk, grudzień 1970 r.

KIEDY GESTAPO, BO NIKT INACZEJ NA NICH NIE MÓWI, ZACZEŁO STRZELAĆ, ZABILI CZŁOWIEKA, KTÓRY NIOŚŁ KRZYŻ, I CAŁY PIERWSZY SZEREG

– PISAŁ KTOŚ W PRYWATNYM LIŚCIE O WYDARZENIACH GRUDNIA '70.

MARCIN ZAREMBA

Pierwszy szereg padł trupem na Oksywiu. (...) Oto jest państwo ludowe, robotnik idzie do pracy, a tu jest rozkaz nie przepuszczać, w razie potrzeby użyć broni. (...) Jeszcze dzisiaj boli mnie ręka od rzucania kamieni. Chciałbym jeszcze dodać, że mam kumpli ciężko rannych, jeden lekko w rękę. W hotelu do dzisiaj brak jest trzech chłopaków” – tak w styczniu 1971 r. pisał młody robotnik, mieszkaniec hotelu robotniczego na Wybrzeżu.

Czy list dotarł do adresata? Nie wiemy. Po sfotografowaniu, mógł na powrót trafić do skrzynki pocztowej. Mógł też zostać skonfiskowany. Z masy korespondencji wyłowili go funkcjonariusze SB Wydziału „W” Komendy Wojewódzkiej MO w Gdańsku, którzy razem z kolegami w całym kraju przegladali rocznie 5-6 milionów listów i przesyłek.

Przykładowo, między ósmą rano 9 stycznia 1971 r. a ósmą dnia następnego poczta w Trójmieście przejęła ich 78 719. Z tej masy esbecy z Biura „W” przejrzyli 2357 listów. Między 14 a 28 stycznia przez placówki pocztowe w Gdańsku, Sopocie i Gdyni przewinęło się ponad 700 tys. przesyłek. Lektorzy z SB wyhulali z tego ok. 20 tysięcy listów. Na ich bazie przygotowywali numerowane raporty z nadrukiem „Tajne Specjalnego Znaczenia”.

Przez 40 lat do teczki z nimi nikt nie zaglądał. Czytelnicy „Tygodnika” są pierwsi. Niesmak wynikający z czytania cudzej korespondencji złagodzić może jej znaczenie dla poznania ówczesnych nastrojów. Ponieważ nie dysponujemy wynikami sondaży opinii z tego czasu, pracę funkcjonariuszy SB można potraktować jako rodzaj badania socjologicznego.

„Ponoć wieszają”

Z listów wylania się obraz społeczeństwa w szoku. Przypomnijmy: najgwałtowniejszy przebieg protesty na Wybrzeżu miały między 14 a 18 grudnia. Thum podpalił budynek Komitetu Wojewódzkiego w Gdańsku, wojsko strzelało do demonstrantów. Kilkanaście dni później ktoś wspominał w liście: „Co do rozruchów to było makabrycznie. Teraz też znowu podobno obie Stocznie strajkują”. „A ile zginęło ludzi, około tysiąca, a nie to co piszą i mówią, w Gdyni to krew się lała po ulicach jak po deszczu”.

Często dla opisanego swych wrażeń autorzy listów wykorzystywali topos opowieści wojennej. Porównywali milicję do gestapo, pisali o zbiorowych mogiłach. Trauma Grudnia kojarzyła im się z traumą wojny. Czytamy: „Widziałem różne rzeczy – zwłaszcza mrozące krew w żyłach – czy to jako dziecko podczas okupacji, ale to byli hitlerowcy, no a tu wydaje się brak określeń dla bandytyzmu tych, co spełniali tak gorliwie nakaz swoich »panów«”.

Z pewnością jedną z przyczyn szoku było zachowanie milicjantów. Stali się oni negatywnymi bohaterami wyobraźni społecznej na Wybrzeżu, większymi niż wojsko czy SB. Pojawiała się opinia, że byli „na prochach”. Ktoś pisał: „W przerwach między strzelaniem można było ujrzeć na ulicach wielkie plamy krwi, które nie zdążyły wsiąknąć w bruk. (...) A jak milicja otrzymała środki dopingujące (o tym się u nas mówi już oficjalnie), to wykonywała każdy rozkaz. A obowiązki swe spełniła nazbyt gorliwie. A skutek? Do dziś umundurowany milicjant jest rzadkim okazem, a ilu już wymordowano po kątach”.

Nienawiść do MO była olbrzymia. Wyobraźnia społeczna, wykorzystując autentyczne wydarzenia, karmiona strachem i gniewem,

produkowała niesamowite opowieści. W listach czytamy: „Zginęło ok. 300 ludzi i dużo pobitych, rannych. Milicja szalała, jak bandyci, ale teraz są samosady. Było już sporo wypadków, że ludzie mszczą się na milicjantach. Co jakiś czas się słyszy, że gdzieś tam znaleźli milicjanta z nożem w plecach, a w kieszeni kartka »odwet za brata«”.

Tematem, który szczególnie bulwersował, była liczba ofiar. W dane podawane przez prasę nikt nie wierzył. „Oficjalnie podano, że jest zabitych 46 osób, a 1200 rannych, ale podobno zabitych ok. 700. Poza tym dzieją się straszne rzeczy, samosady na milicjantach. Wczoraj w kolejce zabito milicjanta, ponoć wieszają, wyciągają z domów i biją”. „W Gdańsku zginęło ok. 120, w Gdyni około 500 osób. Wszyscy leżą w zbiorowych mogiłach. To wszystko jest bardzo przykre i smutne. Nic tylko trzeba się modlić i prosić Boga o spokój i rozum dla tych, którzy go nie mają”.

„Jadą czołgi kolorowe”

W pierwszych dwóch tygodniach stycznia 1971 r. sytuacja ciągle była napięta. Zmiany na szczycie – odsunięcie Władysława Gomułki i objęcie stanowiska I sekretarza PZPR przez Edwarda Gierka – tylko na chwilę uspokoiły nastroje. Ktoś pisał: „Objęcie władzy przez Gierka przyjęto z ulgą i nadzieją, ale ciągle jesteśmy pod wrażeniem tragicznych wydarzeń. Pewnym czynnikom tak zależy na tym, żeby zatuszować wypadki na Wybrzeżu – szczególnie wypadki w Gdyni”. Oczekiwano ukarania winnych. Najczęściej domagano się „głowy” Zenona Kliszki, prawej ręki Gomułki, wymieniano też nazwisko dotychczasowego premiera Józefa Cyrankiewicza.

Podobne zmiany na szczytach dokonywały się w dziejach PRL rzadko. Dlatego budziły duże zainteresowanie opinii publicznej. Krążyły ulotki i dowcipy. Te ostatnie nie tylko ośmieszały, ale też rozładowały nagromadzone napięcie.

Stabilność systemu w jakiejś mierze brała się z „zabetonowania” jego struktur władzy. Wszelkie rysy na skorupie były dla niego szalenie niebezpieczne. „W stoczni im. Lenina też się na gwałt domagają, aby usunąć tego ze Związków Zawodowych Logę Sowiń-

skiego, Kociółka i Cyrankiewicza. Ciekawa jestem jakie będzie VIII Plenum. Podobno ok. 15 lutego, czy też ich wywałą z Rządu”.

W jednym z listów SB znalazła taki dowcip: „Cyrankiewicz rozmawia z Wyszyńskim, a Gomułka stoi pod drzwiami.

Wyszyński: – Daruję Wam wszystko, ale za to trzeba złożyć ofiarę.

Cyrankiewicz: – Właśnie stoi pod drzwiami”.

Masowo krążyły ulotki: „Gomułka łysawy podwyższył potrawy i ludzie się buntują. Stoczniovcy ruszyli do partii wkroczyli i prośbę swą przedłożyli”.

Ludowy poeta przerobił popularną wówczas piosenkę Maryli Rodowicz „Jadą czołgi kolorowe”: „Jadą czołgi kolorowe ulicami, hej żołnierzu, powiedz szczerze, czyś jest z nami. Hej żołnierzu, czy cię czeka sława jaka, kiedy z czołgu strzelać będziesz do rodaka. Hej żołnierzu, partia kłamstwa mówi ci wierutne! Opowiedzże nam żołnierzu, co tam na nas masz”.

„W Gdańsku podobno spokój”

Lista postulatów nie kończyła się na odsunięciu i ukaraniu odpowiedzialnych za strzelanie do robotników. Wszystkie dotąd zgłaszane postulaty pozostawały niezrealizowane. Robotnik z jednej z trzech stoczni Trójmiasta wymieniał w liście: „Największym szum jest z podwyzką. Dzisiaj nasz wydział stał i nie pracował do śniadania. Inne wydziały również stoją, tak, że ogólny chaos się utrzymuje. (...) Na zebraniach są wysuwane różnego rodzaju postulaty, z najważniejszych to usunięcie Kociółka z Biura Politycznego i organizacji partyjnej w Stoczni Gdańskiej, ukaranie działaczy winnych za stan gospodarczy kraju, ukaranie winnych wydania rozkazu strzelania do tłumy. Wytoczenia spraw sądowych milicjantom za nieuzasadnione wypadki użycia broni, gazów nie tylko łąwiących, ale i trujących”.

Na początku 1971 r. kolejne strajki – jeśli można tak powiedzieć – wisiły na włosku. Domagano się przyjazdu Gierka. „W Gdańsku panuje podobno spokój, ale tak dobrze to jeszcze nie jest. Kilka wydziałów w stoczni na razie nie pracują. Chcą koniecznie rozmawiać z Gierkiem, to jedno, chcą konkretnych zmian w zarobkach, no i po trzecie chcą, aby wypuścili aresztowanych stoczniovców. Jeżeli tych trzech warunków nie spełnią, to zapowiedzieli, że znów wyjdą na ulice, ale pod WRN [Wojewódzką Radę Narodową – M.Z.]”. W miesiąc po przejęciu władzy przez Gierka sytuacja znów stawała się krytyczna. Choć formalnie strajków nie było i ludzie przychodzili do pracy, to jednak ją markowali: dyskutowali, wiecowali. 21 stycznia 1971 r. wybuchło kilka krótkotrwałych strajków. Następnego dnia pracownik jednego ze strajkujących zakładów pisał: „W bieżącym tygodniu stocznia znów przystąpiła do strajku. Wczoraj wszyscy do pracy podążali pieszo, przerwali pracę tramwajarze i do południa w ogóle nie kursowały tramwaje i autobusy miejskie. Po południu ruszyły”.

Mieszkańcy byli już jednak wyczerpani przeciągającą się niepewnością, a przyjazd Gierka do Gdańska 25 stycznia zbiegł się z tymi nastrojami. Jednak pamięć o grudniowej traumie pozostała. Stała się założycielska dla buntu, który wybuchł 10 lat później.

A w liście z 1971 r. ktoś napisał: „Coraz ważniejszą myślą o niepodległości albo o rozsadzeniu od środka. Ciężko znieść parodię ustroju ludowego”.

→ Dr MARCIN ZAREMBA (ur. 1966) jest adiunktem w Instytucie Studiów Politycznych PAN i Instytucie Historii UW, zajmuje się historią społeczną. Opublikował m.in.: „Komunizm, legitymizacja, nacjonalizm. Nacjonalistyczna legitymizacja władzy komunistycznej w Polsce”.